

Jadwiga Popowska

Poławiacze min

Kto drogi ich rozpoznał, zostawionych w cieniu?
Jeśli wiesz — przechodzący — podejdź do nas i mów.
Opowieść składam swoją w wielkim zamysleniu
Z detonacji odległych, z rozszarpanych słów.

Zyli jak my, poranku radość chłonec świeżą;
Wyjść mogli. Wrócić. Okna rozewrzeć na oścież...
W stosie ksiąg jawił im się ogród dzikich zwierząt,
Konał Thibault złowieszco u progów młodości.

Dziwnie giną! — Na myśli nie zechcieli przestać.
Zło ludzkie niby pocisk dłoń ludzka rozkreśli!
I niosło ich wciąż dalej szaleństwo protestu,
Aż wyrósł słup graniczny o nazwie: „Oświęcim!!!”

Nie drogi mleczne!! w górze wielki łowca Orion,
Nie ludzka mowa!.. groza nieobjęta słowem!
Jedni dymem wyrosli ponad krematoria,
Innych świst batów pędził szlakiem pól minowych.

Piasek wiódł ich ruchliwy czy różowa glina?
Ktoś później będzie pytał, może dowie się syn.
Ból tamtych był im obcy, na krzywym odcinku
Kształt myśli swej dawali — poławiacze min.

Piotr Życki

CO ROK - KROK

Poszła nieco w zapomnienie słynna ongiś „szpilkowa” bajeczka o Ignacym Pliszce, co to go dzieci rodzone nie znały, bo spieszyły do pracy o świcie, wieczory zaś wypełniały mu zebrania. Nie znaczy to wszakże, by z biegiem czasu liczba odpraw, czy narad uległa kompresji; zebraniek nadal jest wielka obfitość. Skłonniśmy je w końcu traktować jako chleb powszedni. Pod warunkiem, że będzie strawny.

Bo w gruncie rzeczy ludzie nie są przeciw zebraniom w ogóle; są przeciw zebraniom, nie przynoszącym pożytku, częściej gadaninie, formalnemu posiedzeniu. Natomiast grupowe spotkania, poświęcone omówieniu żywotnych spraw zakładu, środowiska zawodowego, czy wiejskiej gromady — traktowane są jako jedna z istotnych form socjalistycznych stosunków społecznych. Nie jest więc prawdziwe generalizujące twierdzenie o powszechnym jakoby pomiędzy Odrą i Bugiem.

Podstawa — plan gromadzki

Masowy udział mieszkańców wsi w gromadzkich naradach — to najważniejszy argument na poparcie przytoczonych powyżej wywodów. Ludzie przychodzą i przychodzą na te zebrania, wiedzeni chęcią współdecydowania o losach swojej wsi, czy osiedla, możliwością wyrażenia zdania na temat powszednich spraw Dopiewa, Wólki, czy Ryczywołu. Jesień i zima sprzyjają takim spotkaniom. Trwają więc na wsi rozmowy — od listopada począwszy i trwać będą, póki przedwiośnie nie wezwie rolników do pilnych prac polowych.

Tegoroczny sezon jesień — zima mija w wielkopolskiej wsi pod znakiem szczególnego uaktywnienia społeczeństwa. Przyczyniły się do tego, obok wyborów wiejskich komitetów Frontu Jedności Narodu, dyskusje nad gromadzkimi planami rozwoju. W ten sposób inspirowana przez PZPR wiejska kampania jesienno-zimowa pomaga skoncentrować uwagę społeczności rolniczej na najważniejszych zadaniach produkcyjnych. Nie są one efektywne: chodzi najzwyczajniej w świecie o zwiększenie produkcji rolnej, ziarna i pasz, dla stopniowego osiągnięcia przez Poznańskie samowystarczalności w tym zakresie, dla dopomożenia w akcji na rzecz ograniczania importu zboża.

Krótko mówiąc, idzie o dalszą intensyfikację wielkopolskiego rolnictwa, opartą na realnych przesłankach — w przeciwieństwie do sufitowej arytmetyki sprzed lat. Po to właśnie opracowuje się dla każdej gromady plan rozwoju. Nad jego ogólnymi założeniami dyskutują mieszkańcy wsi na zebraniach — krytykują, zgłaszając poprawki, żądając urealnienia proponowanych wstępnie wskaźników wzrostu produkcji. Dodajmy: zgłaszane propozycje zmian nierzadko zmierzają

do wyznaczenia gromadzie większych zadań, od przewidywanych przez planistów powiatowych.

Indeks spraw — obszerny

Stają się więc zimowe dysputy wiejskie solidną szkołą społecznego gospodarowania, przy czym charakter owej kampanii jest w istocie rzeczy wyraźnie polityczny. Przebieg zebrań w licznych powiatach świadczy o wzrastającej aktywności rolników, coraz wyraźniej dostrzegających w stałym roz-

Na wsi rozmowy

wijaniu produkcji, obok korzyści osobistych, doniosły interes społeczny.

W Gostyńskim — na zebraniach wiejskich roztrząsano sprawę właściwej struktury zasiewów, rozmiarów pogłowia na lata przyszłe. W Jarocińskim — kotłowanie dokładne raz jeszcze liczyli, ilu też koni będzie się można pozbyć, a w Jaraczewie uznano wskaźnik wzrostu plonów zboża za zbyt niski. Rolnicy kościańscy z gromad Kiełczewo, Czempin i Smigiel, zgłosili takie same uwagi, zaś w Bielewie i Wielichowie z dużą troską omawiano przyszłość gospodarstw podupadłych. Ludność wiejska powiatu słupeckiego na ogół uznała gromadzkie zadania za możliwe do przekroczenia, pod warunkiem zwiększonej pomocy nawozowej i... agronomicznej. Natomiast w Tureckim chłopie najczęściej uwagi poświęcili konieczności zagospodarowania łąk w dolinie Teleszyny i nad Kiełbasą.

Indeks poruszonych na zebraniach spraw jest bardzo obszerny. Padają żądania wprowadzenia przymusowego kompleksowego zwalczania chemicznego chwastów i szkodników roślin; przytaczane są przykłady hamowania rozwoju mechanizacji wskutek zaniedbań drogowych; zgłoszono niejedną propozycję w sprawie przekształcenia niektórych gorzelni na piakarnie; coraz częściej są głosy, opowiadające się za wykorzystaniem urządzeń cukrowni w okresie pokampanijnym dla suszenia pasz.

Co przyniesie ten rok?

Żywe są te zimowe rozmowy na wsi, przepełnione troską o dobro ogółu. Stąd też coraz częściej wytykanie przez dyskutantów władzom gromadzkim, powiatowym, a nieraz wojewódzkim i centralnym — zaniedbań, czy przeoczeń, wpływających niekorzystnie na przebieg walki o wzrost produkcji rolnej. Stąd też powszechne niemal wskazywanie palcem na rezerwy, tkwiące w organizmie gromady, których wykorzystanie wiązałoby się z pomnożeniem zbiorów, czy pogłowia.

Można zatem wyrazić pogląd, że na wsi poznańskiej panuje obecnie

15 kwietnia 1945 r. o godzinie 3 po południu do obozu Belsen wkroczyły wojska brytyjskie. Byliśmy wolni. Wprawdzie dookoła obozu stały strażnicy niemieccy, wprawdzie koszmar dnia wczorajszego przypominały wciąż tysiące trupów naszych kolegów. Ale byliśmy wolni, pijani wolnością. Wycieńczeni, chorzy, półżywi włożyliśmy się z radosnymi minami po ulicach obozowych. SS-mani byli pod kluczem i strażą żołnierzy angielskich, jeśli zdołali uniknąć samosądu.

Niedługo po wyzwoleniu zaczęto organizować transporty byłych więźniów do domu. Niemcy, Francuzi, Belgowie, Włosi, Holendrzy... Tylko my nie. Dla Polaków nie było transportów repatriacyjnych. Zaczęli za to przyjeżdżać przedstawiciele różnych komitetów, organizacji, oficerowie łącznikowi z Londynu, od Andersa. Zorganizowali Komitet Polski i zaczęto opowiadać „straszliwe wieści” z kraju: że „na Sybir”, że „terror”, że „nie wolno wracać, bo to zdrada narodowa...”

Początki działania

Było nas niewielu ludzi związanych z ruchem lewicowym. Niektórzy znali się z roboty kon-

Aleksander Drożdżyński

ZANIM WRÓCILIŚMY DO OJCZYZNY

Ale jak? Byliśmy młodzi. Najstarsi z nas mieli po 24 lata. Nie mieliśmy za wiele doświadczenia. Przypatrzywszy się pracy radzieckich i jugosłowiańskich towarzyszy nawiązaliśmy z nimi kontakty. Hasła polityczne były nieskomplikowane i proste: wracać do kraju, do nowej, ludowej Polski, przeciwdziałać reakcyjnej propagandzie.

Jak każde początki, wszystko było trudne. Zaczęliśmy od wydawania biuletynu informacyjnego. Treścią jego był nasłuch radiowy zorganizowany w bardzo prymitywny sposób. Nie mieliśmy radia, więc nasze towarzyszyki słuchały radia przez ustawiony przez Anglików megafon, zapisywały najważniejsze wiadomości z Polski, które przepisywano na maszynie jednego z biur angielskich. Pierwsze numery tego biuletynu ukazywały się w pięciu egzemplarzach. Potem było już lepiej. Zdobyliśmy maszynę do pisania i powielacz (oba nie najbardziej uczciwą drogą), zakupiliśmy za sprzedaną żywność matrycę i papier. Biuletyny zaczęły ukazywać się regularnie. Grupa nasza się powiększyła i liczyła już około dwudziestu osób. W skład naszej grupy wchodził wówczas m. in. tow. Artur Solarz (obecnie major MO), Józef Śmiałowski (obecnie redaktor „Polityki”), Dorota Zajac (obecnie mgr chemii w Warszawie), Adela i Artur Wajskolowie (obecnie lekarze w Szczecinie), Leon Brawman (obecnie ekonomista w Szczecinie), Ewa Solarzowa (obecnie lekarka), Zofia Śmiałowska (obecnie mgr chemii), Tosią Chęcińska (obecnie mgr chemii), Roman Kolski (obecnie filmowiec), Leon Weintraub (obecnie lekarz) i wielu innych. Współpracowaliśmy z grupą komunistów z polskiego obozu koło Lüneburga, na którego

*) Ostatnio na jednym z zebrań wiejskich w powiecie gostyńskim dosłownie wygłazano agnoma, który był nieprzygotowany do dyskusji. W powiecie jarocińskim (nie tylko tam) zdarzył się wypadek nie przybycia na zapowiadane zebranie — aktywiści z powiatu.

Sploty



Fotogram Józefa Myszkowskiego

**POGLĄDY
POTEMKI
POSTULATY**
Poznań
4. II. 1962
Nr 17 Rok II
TYGODNIA

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

czele stał tow. Jan Chlebowski, długoletni więzień Oświęcimia. Utrzymywaliśmy łączność z grupami radzieckimi, jugosłowiańskimi i węgierskimi. Wzbogacaliśmy naszą technikę. I wreszcie nawiązaliśmy kontakt z towarzyszami z kraju, którzy po uznaniu rządu Polski Ludowej przez mocarstwa zachodnie, przyjechali w oficjalnej misji do strefy brytyjskiej.

W miarę rozszerzania się naszej bazy technicznej zaczęliśmy szeroko rozwijać akcję propagandową. Raz po raz zaczęliśmy ukazywać się ulotkami polemicznymi z reakcyjnymi teoriami, które miały spory wpływ na dziesiątki ludzi w naszym obozie. Nasze dziewczęta prowadziły indywidualną agitację wśród kobiet polskich za powrotem.

Kontakty z KC

Rozpoczęto wreszcie wydawanie własnego pisma pt. „Nowa Polska”. Kiedy przegląda się dziś zachowane egzemplarze tego skromnego, powielanego pisemka widzi się, jak wiele w nim nieporadności i naiwności. Ale treść polityczna jest bez zarzutu. W artykułach była mowa o nowej, ludowej Polsce, o klęsce wrzesniowej i jej przyczynach. Były tu artykuły o sprawach gospodarczych i politycznych, polemiki z londyńskim „Dziennikiem Polskim i Dziennikiem Żołnierza” i z wydawaną w Celler Andersowską „Defiladą”. Argumenty zawarte w artykułach trafiały do przekonania

Dokończenie na str. 2

Józef Pieprzyk

Awans „pańskich” ludzi

Kiedy przystąpiłem do systematycznego układania danych, przyszła mi na myśl drobna postać Ignacego Normana. Chodził razem ze mną do szkoły powszechnej, bawił się w wojsko i marzył o jak najszybszym pójściu z kosą na pole dworskie, by dorównać starszym robotnikom. Poza ten zakres nie wykraczały jego ambicje życiowe; nie mogły, bo nie pozwalały warunki materialne rodziny folwarcznej, nie pozwalała też ówczesna struktura społeczna. Ignacy i wielu innych moich kolegów z dworu było skazanych na łaskę i niefaskę „pana”. Stąd też ówczesne określenie dla nich — „pańscy ludzie” oznaczało ludzi najniższej stojących w hierarchii społecznej.

Długo szukałem w pamięci tych z przedwojennych lat, którzy mieli szczęście wymknąć się z dworu w Babkowicach i znaleźć lepszy chleb. Wylizyłem tylko trzech. Jeden „wzenił się” w małe gospodarstwo, drugi przeniósł się do dworu w Sołbąkowie, trzeci — został kolejarem. Stł zaś harowało od szóstej rano do ósmej godziny wieczorem. Byli dożywotnimi więźniami swego urodzenia, swej społeczno-gospodarczej pozycji.

Postanowiłem zbadać, na ile zmieniło się pod tym względem w majątku liczącym teraz 31 rodzin robotniczych, przekształconym po wojnie w gospodarstwo wchodzące w skład Stadniny Koni w Pępowie (powiat Gostyń). „Folwarczni” poczuli się nie tylko ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu, ale i pełnoprawnymi obywatelami. Zawód robotnika rolnego w ich mniemaniu przestał hańbić. Równocześnie wieś zaczęła powoli inaczej patrzeć na PGR-owców. Dowodem tego 9 małżeństw zawartych pomie-

Dokończenie na str. 2

CZESŁAW MICHNIAK

HENRYK

(Opowiadanie)

Ten M. miał dobre, niebieskie oczy, silne, żyłaste ręce, pracował nad pomnożeniem dóbr własnych i społecznych, pracował uczciwie i sumiennie i nikogo to nie dziwiło, bo w miasteczku wszyscy byli pracowici, sumienni i punktualni i myli ręce trzy razy dziennie i mieli jasne włosy i niebieskie oczy i silne, żyłaste dłonie i wszyscy pracowali dla wspólnego dobra a ten M. jak i inni jego współziomkowie miał żonę i dzieci i był z tą żoną po ślubie kościelnym i cywilnym i nigdy jej nie zdradził ani ona jego nie zdradziła a ich dzieci już prawie dorosłe odnosiły się do rodziców z szacunkiem i miały oczy niebieskie i jasne włosy i ręce, mogące już dźwigać ciężary i grać na fortepianie lub organach i grać w siatkówkę i grzebać we włosach albo przebiegać palcami po stole.

Więc ten M. był krawcem, szył ubrania męskie, bo takie miał powołanie, tak chciał, takie okazywał zdolności i rodzice jego niebieskoccy chcieli, żeby szył i ubierał swoich współziomków, którzy zgodnie z tradycją tego kraju dbali o estetykę wyglądu zewnętrznego nie zaprzeczając w żadnym razie wzory, które by ich mogły oderwać od specyficznego dla ziemi, która ich rodziła i wykarmiła, kroju spodni i marynarek.

A ten krawiec M. był obywatelem dobrym, uczciwym i społecznie wyrobionym, nad jego łóżkiem wisiał srebrny hełm i ciężki, skórzany pas i jeszcze coś podobnego do siekiery, albowiem nasz krawiec był strażakiem, członkiem ochotniczej straży pożarnej, to znaczy sam tego chciał, sam sobie wybrał zaszczepiny obowiązku. Gdyby się zapalił dom mieszkalny albo stajnia z bydłkami albo stodoła albo psia buda albo inne zabudowania gospodarskie albo kościół bez względu na wyznanie lub drzewa w parku i las mógł się palić i człowiek, który na przykład wylał na siebie benzynę, więc gdyby coś gorzało M. oderwałby się od swej maszyny, igieł i włosia ubrałby się szybko w mundur, włożył na głowę lśniący kask, przepasał i uzbroid i poszedłby w ogień ratować dobytek żywy i martwy a jego oczy stałyby się nieugięte i nieustraszone jak oczy żołnierza z okopów nad Marną albo pod Verdun, albo żołnierza biorącego udział w wojnie Burów z Anglikami lub Hottentotów w polityczce z Buszmenami, mógł się stać człowiekiem pełnym, opiewanym przez poetów, twórców kantał i oratoriów.

Całe jednak nieszczęście, że w tym miasteczku ani w jego okolicy od dwudziestu lat nie było pożaru, tak, że M. był ochotniczym strażakiem tylko na papierze, melowanym na dziecięcych wycinankach, pełniącym dyżury w kinie i na zabawach ludowych a nie takim prawdziwym, zehartowanym w bojach z wesołym ogniem, albowiem ogień jest zawsze wesoły i jakże przyjemnie jest patrzeć w jego pomarańczowe błyski, jakże przyjemnie jest słuchać trzasku suchych drewnienek albo patrzeć jak czarny dym wali w górę, ludzie biegną, ale w tym rzecz, że w miasteczku od czterdziestu lat panował niezmacony spokój, ludzie byli uważni, dzieci rozsądne, nie bawiły się zapalnikami, mężczyźni doradzi nie pili, nikt nie zaprószył ognia w stodole, rok za rokiem przepadały kredyty przeznaczone przez miejską radę narodową na walkę z pożarami, mundury strażaków były zjadane przez owady, kaski od nierobstwa pokrywały się rdzą, lasy się nie paliły ani nawet psie budy się nie paliły, więc ten M. ciągle szył ubrania a mundur wisiał nad łóżkiem i wisiał i wreszcie całkiem obwisł a ten M. nie mógł sobie wyobrazić życia bez spełnienia bohaterstwa, które by go jeszcze bardziej

Ciąg dalszy na str. 3

Jest taka ustawa

Gdy wreszcie — po sprawie personalistów — padnie pytanie: „Jak często pan pije?”, na twarzy delikwenta pojawia się głęboki namysł, czasem nawet zdumienie: „Ja? Ostatnio zupełnie nie piję, najwyżej raz, no, dwa razy w miesiącu...”. „Urządza pan awantury po pijanemu?” I znów zdziwienie. „Ja? To nieprawda!...” A tymczasem materiały zebrane w teczkach mówią coś zupełnie innego: ciągle upijanie się, bicie żony, demoralizowanie dzieci, nieoddawanie zarobków na utrzymanie rodziny, kradzieże we własnym domu, noce na klatkach schodowych czy w Izbie Wytrzeźwień. Fakty te powtarzają się w wielu wariantach. Potwierdzają je zeznania rodziny, pisemka z przychodni o przerwaniu leczenia. Diagnoza nie budzi wątpliwości: nałogowy alkoholizm.

Toteż rozmowa, po niemal identycznym przebiegu, kończy się tak samo — wręceniem skierowania na przymusowe leczenie w przychodni przy Al. Marcinkowskiego. Delikwent bez większego przekonania chowa papieraś do kieszeni i wychodzi. Ale po jakimś czasie znów tutaj wraca. Dlaczego?

Jak leczyć?

Każdego miesiąca około 50 nałogowych alkoholików, zgodnie z art. 13 ustawy antyalkoholowej *) staje

*) „Wobec nałogowych alkoholików, którzy swoim postępowaniem powodują rozkład życia rodzinnego, demoralizują nieletnich, zagrażają bezpieczeństwu otoczenia albo zakłócają systematycznie spokój lub porządek publiczny, stosuje się leczenie przymusowe w zakładach leczenia otwartego i zamkniętego”.

przed Komisją Społeczno-Lekarską przy Prezydium RN m. Poznania (obecnie rozpoczynają swą działalność podobne komisje przy poszczególnych przydiach DRN). W skład takiej komisji wchodzi przedstawiciel związków zawodowych, Prezydium RN, Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy oraz lekarz-specjalista.

Rozmawiam z lekarzem, dr. M. K. — Czy leczenie w przychodni skutkuje?

— Żeby się skutecznie leczyć, trzeba systematycznie. Niestety, jednym z objawów nałogowego al-

koholizmu jest właśnie negatywny stosunek do leczenia się.

— Co następuje wówczas?

— Po ustaleniu, że leczenie w zakładzie otwartym nie przynosi skutków, występujemy z odpowiednim wnioskiem do Sądu Powiatowego, który — zgodnie z ustawą — orzeka o zastosowaniu przymusowego leczenia w zakładzie lecznictwa zamkniętego.

— Czy w takim zakładzie można się wyleczyć?

— W zasadzie tak, jeśli kuracja potrwa minimum pół roku. Niestety, większość opuszcza zakład po 2—3 miesiącach, kiedy głód alkoholowy jest najsilniejszy.

— Dlaczego?

— Poznań nie posiada zakładu odwykowego dla alkoholików. Z ko- nieczności więc kuracja odbywa się w zakładach psychiatrycznych.

Krzysztof Monikowski

Zaczarowany krag półśrodków

mienie 3 mln. zł przeznaczyło Ministerstwo Zdrowia; resztę wygospodarowano z funduszy, które tak niechętnie asygnują prezydium PRN, choć ustawa nakazuje przeznaczyć 10 proc. z wódczanych dopłat na walkę z alkoholizmem. (Do alarmującego stanu rzeczy przedstawiono w art. pt. „Gospodarność przez okulary krótkowidza” można dzisiaj dodać tylko to, że prezydium PRN w Poznaniu i Środzie w r. 1962 znów nie zamierzają oddać ani grosza na ten cel, a prezydium PRN w Wolsztynie, Jarocinie i Chodzieży — zaplanowały drobne kwoty „na odczepne”. Kto wie, może doczekają się pięknego pomnika wystawionego przez... alkoholików?).

Trzeba wyrazić uznanie, że województwo mimo to potrafiło uruchomić taki zakład, ale nie ma się czemu dziwić, że przeznacza go dla swoich pacjentów. Można się natomiast dziwić, że władze miasta Poznania do tej pory nie mają żad-

nych planów w tej dziedzinie. I znów trzeba przypomnieć: jest taka ustawa. W art. 12 par. 1 mówi wyraźnie: „Rady narodowe wojewódzkie oraz miast wydzielonych (podkr. red.) z województw obowiązane są organizować i prowadzić zakłady lecznictwa zamkniętego dla nałogowych alkoholików”.

Czas — złym lekarzem

Powiedziemy szczerze: dopóki nie potrafimy uruchomić takiego zakładu, leczenie alkoholizmu w Poznaniu będzie półfikcją, gdyż zostanie w kręgu półśrodków. Wniośki bowiem z dotychczasowej praktyki leczenia tej ciężkiej choroby społecznej, jaką jest alkoholizm, są jednoznaczne: nie wystarczy dobrze pracujące placówki lecznictwa otwartego (a mamy takie w Poznaniu) i nie wystarczy ofiarna praca działaczy i komisji.

I znów można powiedzieć o tyśiącu pilnych spraw w naszym mieście, krzyczących wielkim głosem o rozwiązanie. Ale dlaczego ten właśnie problem znajduje się w hierarchii potrzeb na szarym końcu? Przecież — wbrew pozorom — nie musi to być kosztowna inwestycja. W pobliżu Poznania można znaleźć odpowiedni teren i obiekt, wystarczy więc, podobnie jak w Zimnowodzie, adaptacja. Poza tym uruchomienie i prowadzenie zakładu odwykowego może dać uboczne i zupełnie konkretne korzyści samemu miastu, jako że byłoby to nie tylko zakład leczniczy. Można by przy nim wytwarzać np. tak potrzebne nam płytki chodnikowe.

Zresztą fundusze są (z tych 10%), w r. 1961 nie wykorzystano ich nawet w pełni.

Sądźmy, że Prezydium RN m. Poznania, które okazuje tyle zrozumienia i pomocy Społecznemu Komitetowi Przeciwalkoholowemu, potrafi ruszyć tę sprawę z miejsca. Trzeba opracować odpowiednie plany — i to jak najszybciej. Inaczej znów upłynie kilka lat, a wtedy problem leczenia i reedukacji alkoholików stanie przed nami w rozmiarach o wiele groźniejszych niż dzisiaj. Czas rzadko bywa sprzyjającym. W tym wypadku — jest bardzo złym lekarzem.

Awans „pańskich” ludzi

Dokończenie ze str. 1

dzy „wsia a PGR-em”, w tym siedmiu weszło w gospodarstwa wiejskie, dwóch ze wsi przeszło do gospodarstwa Stadniny.

Otworzy się także przed ludźmi PGR-owskimi możliwości podjęcia gdzie indziej zatrudnienia. Skorzystało z tego 25 mężczyzn. Większość z nich pełni służbę na PKP, część pracuje w gminnych spółdzielniach, jeden z nich pełni funkcję prezesa GS w powiecie krotoszyńskim. 3 kobiety — to pracowniczki umysłowe, 12 dziewcząt wyszło za mąż za kolejarzy, rzemieślników, robotników fabrycznych i innych pracowników.

Bardzo charakterystyczny i wielokrotnie większy niż na wsi jest pęd młodzieży PGR-owskiej do nauki. Dwoje ukończyło wyższe studia, dwoje licea pedagogiczne. Obecnie jedna dziewczyna w liceum pedagogicznym, pięć dziewcząt w liceach ogólnokształcących, sześciu chłopaków uczęszcza do szkół zawodowych, w tym jeden do szkoły rolniczej w Grabonogu. Dzięki wysokiemu poziomowi szkoły podstawowej nietrudno im było przejść przez sito egzaminów wstępnych.

Kilku tych młodziutkich bohaterów

spotkałem o świcie, czekających na autobus. Niestraszne im wczesne wstawanie, siota, mróz i upał, przejazd w przepełnionym woźwie, jeszcze gorszy powrót, a potem w fatalnych nieraz warunkach mieszkaniowych nauka do późnych godzin wieczornych.

Więzy pokrewieństwa i kontakty z różnymi środowiskami są przyczyną dokonującej się tu małej rewolucji kulturalnej. Matki przed dziećmi już samodzielnie pracującymi poza granicami powiatu pragną wykażać się zaradnością, schludnością i wyposażeniem mieszkania. I na odwrót — synowie i córki przywożą swoje nowe nawyki i zamiłowania. Młodzież kształcąca się i już po średnich szkołach wnosi okrucieństwa i kultury. Rodzice są z nich dumni, w miarę swoich możliwości pragną stworzyć im jak najbardziej sprzyjające warunki. To w sumie podnosi kulturę materialną i umysłową: jest czynnikiem jak najbardziej pożądanym.

Oto rozbite getto dworskie. Dawny wysoki mur, odgradzający czworaki od wsi, a jeszcze bardziej od miasta, już przestaje istnieć. Mówię: przestaje istnieć, bo jeszcze, szczególnie w starszym pokoleniu, po jednej i drugiej stronie pokutują pewne uprzedzenia. Jakiego? W zależności co kto więcej ceni: człowieka czy majątek, pochodzenie czy wygląd, wykształcenie czy pozycję zawodową. Na szczęście nie nie wskazuje na to, aby te uprzedzenia utrzymywały się lub powiększały.

Proces szybkiego wchodzenia w inne środowiska zawiera jednak jedno niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo zbyt wielkiego odpływu młodych ludzi z państwowego gospodarstwa, które przecież samym tylko najbardziej nawet zmechanizowanym sprzętem nie da sobie rady. Już teraz trzeba kierownictwu pomyśleć o tworzeniu takich warunków pracy, by — tam, gdzie to możliwe — zostało zdjęte z ramion robotniczych brzemień ciężkiego trudu. Już sam wybór zawodów technicznych przez młodzież męską mówi że chce ona posługiwać się współczesnymi osiągnięciami techniki. Konieczna jest też poprawa warunków mieszkaniowych. Młodzi robotnicy rolni pragną w niczym nie ustępować robotnikom fabrycznym. Wprawdzie świat miejski i świat ośrodków przemysłowych ich wabi do siebie, lecz na przeszkodzie temu zawsze stać będzie przywiązanie do stron rodzinnych.

JOZEF PIEPRZYK

ZANIM WRÓCILIŚMY DO OJCZYZNY

Dokończenie ze str. 1

Polakom w naszym obozie i gazetka miała powodzenie.

Jeszcze w lipcu nawiązaliśmy kontakt z towarzyszami niemieckimi z KPD. Byli to ludzie, których znaliśmy z obozu. W sierpniu grupa nasza wydelegowała swych przedstawicieli do Frankfurtu nad Menem, gdzie mieszkali nasi niemieccy towarzysze: Lutz Hess (który zmarł kilka lat po wojnie w wyniku chorób nabytych w czasie 12-letniego pobytu w obozach, Adi Koenig, młody wówczas towarzysz, obecnie docent uniwersytetu w Lipsku (jego żona Marysia z Łodzi była z nami w organizacji konspiracyjnej). Towarzysze niemieccy dali nam trochę literatury marksistowskiej i pomagali w czym mogli. Nawiązaliśmy też kontakt z naszymi sympatykami w obozie z Zeilshaim koło Frankfurtu, gdzie chcieliśmy założyć grupę podobną do naszej. Jesienią udało się nam nawiązać kontakt pośredni z grupą PPR w Londynie i bezpośredni ze Związkiem Patriotów Polskich w Belgii kierowanym przez tow. Edwarda Gierka. Później, we wrześniu dwóch naszych przedstawicieli udało się do kraju. Wrócili po kilku tygodniach pełni wrażeń. Nawiązali kontakt z Komitetem Centralnym PPR. Przekazali nasze wydawnictwa i przywieźli wezwanie powrotu do kraju.

Dość tułaczki

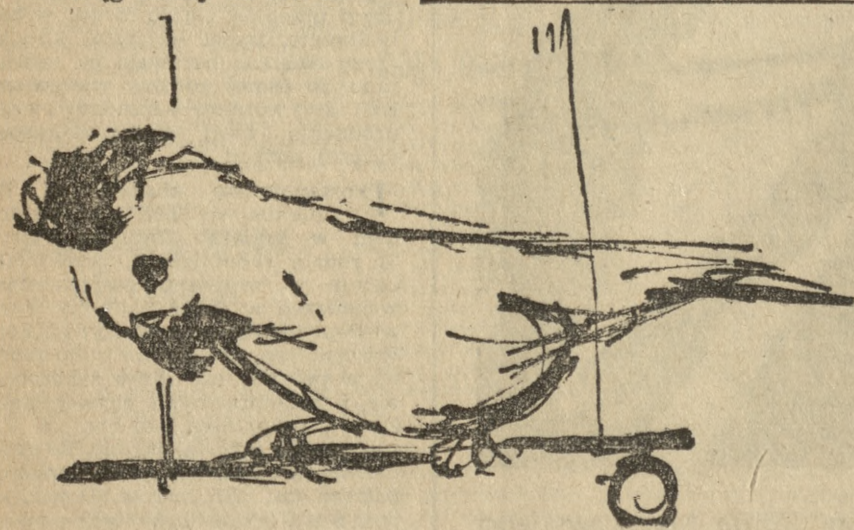
W październiku postanowiliśmy zorganizować wielką akcję za powrotem do kraju: w obozie panowało rozgoryczenie, warunki bardzo się pogorszyły. Ludzie mieli dosyć siedzenia w obozie. Proklamowano więc strajk. Wbrew komitetowi o londyńskiej orientacji w całym obozie rozszło się hasło strajku głodowego. Na wszystkich blokach zostały wywieszone czarne sztandary. Na niektórych były napisy „English concentration camp” i wymalowane były trupy czaszki. W dniu strajku żaden Polak nie miał brać jedzenia z kuchni obozowej. Od rana przed budynkiem komitetu zaczęły się gromadzić tłumy. Przez całą noc grupa nasza malowała transparenty na pociętych prześcieradłach (poszedł wtedy ca-

ły prawie nasz zapas bielizny pościelowej). Demonstracja miała się rozpocząć około południa. Przygotowaliśmy specjalną ulotkę z naszymi hasłami, wśród których domniawaliśmy wezwanie do powrotu do ojczyzny i żądanie zorganizowania transportów do kraju przez władze angielskie, w myśl porozumienia z rządem Polski Ludowej. W demonstracji wzięło udział wiele tysięcy osób. Przed komendanturą angielską, dokąd demonstracja dotarła, cały plac był pełen ludzi. Tam rozrzuściliśmy nasze ulotki. Komentarze były dość jednoznaczne. Tłum wznosił nasze hasła. Ludzie krzyčeli: mamy dość tułaczki! Chcemy wracać do kraju! Komendant angielski przyjął wybraną ad hoc delegację. W skład jej weszli zarówno przywódcy komitetu jak i nasi ludzie oraz nieznan nam przedstawiciel zebranego tłumu. Prezes komitetu zwrócił się do komendanta angielskiego o pomoc dla Polaków aby mogli... przetrzymać, prosił o lepsze wyżywienie, zorganizowanie opieki nad dziećmi i młodzieżą. O powrocie nie wspomniał. Nasi, poparci przez przedstawicieli „tłumu” żądali repatriacji. Na szczęście prezes komitetu nie znał angielskiego, a tłumacz był członkiem naszej grupy. Tłumaczem wypadło więc po naszej myśli. Komendant angielski przyrzekł pomoc i postanowił przemówić do zebranych. Upřednio jednak zawezwał czołgi, które w trakcie jego „przyjaźnielskiej” mowy nadjechały. Demonstracja została rozprawiona. Ale w kilka tygodni później wyjechał pierwszy transport do kraju.

Związek Patriotów Polskich założyliśmy w naszym obozie wzorując się na belgijskich towarzyszach. Prezesem został b. działacz PPS i KPP z Wielunia tow. Wolski, sekretarzem Józef Smietalski. W dalszym ciągu wydawaliśmy „Nową Polskę” i ulotki. Kolportowaliśmy prasę krajową otrzymaną z Londynu. Zdobywaliśmy coraz więcej zwolenników powrotu do ludowej Polski. Tysiące ludzi zaczęło opuszczać obóz w Bergen-Belsen.

Wreszcie 21 listopada cała nasza grupa wsiadła na angielską ciężarówkę udekorowaną transparentem „Niech żyje PPR”. Po trzech dniach byliśmy już w Szczecinie.

ALEKSANDER DROZDZYŃSKI



Ilustr. — Ewa Pruska

(Dialog między dwoma osobami: panem Groteskowym i panem Śmiesznym)

Gr. Podziwiam pana dlatego, że ma pan odwagę być sobą z całą pańską śmiesznoscia.

Śm. Podirzymuję tradycję, to wszystkim.

Gr. Kosztowało pana dużo czasu, żeby się śmiać?

Śm. Ależ, drogi panie, nie można stać się śmiesznym, albo się nim jest, albo nie.

Gr. A pan jest śmieszny?

Śm. Tak, drogi panie, od trzech generacji przechodzi to z ojca na syna.

Gr. A więc śmieszność ma się we krwi?

Śm. O tak, krew śmiesznego jest bardzo mocna, do tego słopnia, że mój ojciec przerażony swoim śmiesznym dziedzictwem, ożenił się z panią, która nie urodziła się śmieszna, ale w

Raymond Devos*)

Sens śmiesznosci

najbardziej porządnej rodzinie. I wie pan co z tego wynikło?

Gr. Śmieszne małżeństwo.

Śm. Oczywiście.

Gr. A czy ja, według pana, jestem śmieszny?

Śm. Nie, pan nie jest śmieszny.

Gr. Och!

Śm. Pan jest groteskowy.

Gr. Czy to jest tak widoczne?

Śm. Tak, pan nie ma poczucia śmieszności.

Gr. To zabawne, nie zdaję sobie z tego sprawy.

Śm. Dlatego jest pan groteskowy.

Gr. A jednak w pewnych chwilach, zapewniam pana, czuję się śmieszny.

Śm. Nie chciałbym robić panu przykrości, ale bardzo bym się zdziwił, gdyby tak było.

Gr. Na przykład kiedyś kupiłem sobie kapelusz; był dla mnie za mały i wtedy właśnie poczułem, że jestem śmieszny.

Śm. I chodził pan w tym kapeluszu?

Gr. Nie.

Śm. A zatem jest pan groteskowy.

Gr. Dlaczego?

Śm. Ponieważ ja, drogi panie, nie rozstałbym się z kapeluszem, gdyby zdarzyło mi się to szczęście, że dostałbym taki kapelusz, w którym mi nie do twarzy.

Gr. To śmieszne.

Śm. Właśnie, o to mi chodzi.

Gr. Co do mnie wolę kapelusz, w którym jest mi do twarzy.

Śm. To groteskowe.

Gr. Cemu?

Śm. Ponieważ nawet w dopasowanym do pańskiej głowy kapeluszu nie będzie panu do twarzy.

Gr. Mówię, że śmieszność zabija, czy to prawda?

Śm. Bynajmniej, niech pan rozejrzy się wokół siebie: wszędzie ma pan ludzi w dobrym zdrowiu.

Gr. Ludzie zdrowi nie muszą konieczności być śmiesznymi.

Śm. Muszą być, miły panie, wszyscy lekarze powiedzą to panu.

Gr. A chorzy?

Śm. Chorzy są groteskowi.

Gr. A więc byłbym śmieszny, gdybym powiedział panu, że jestem zdrowy.

Śm. Oczywiście, drogi panie.

Gr. A zatem powiem: Jestem zdrowy.

Śm. Bez kawałów; pan nie jest więc groteskowy?

Gr. Nie panie, ani śmieszny.

Śm. A zatem jest pan głupcem.

Gr. Dlaczego?

Śm. Ponieważ, jeżeli nie jest pan groteskowy, nie wiem czemu obawia się pan śmieszności. Dobranoc.

Przełożył:

STANISŁAW HEBANOWSKI

*) znakomity kłown francuski.

Feliks Fornalczyk

Nie wiadomo dla kogo?

Bardzo niefortunnie dobrał teatr gnieźnieński swoje premiery na początek obecnego sezonu. Bo co mogliśmy zobaczyć? „CUDOWNĄ WODĘ” Synge'a, której perypetie scenicznie sprawiły zawód i daleko odbiegły od szumnych zapowiedzi. Teraz z kolei komediofarę „TOPILEC I MARIONETKI” Wiktora Eftimiu, stary, zjeżdżały towar, nie wiadomo komu potrzebny do szczęścia.

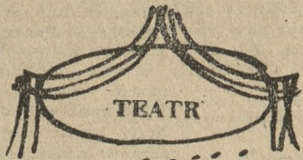
Znana to rzecz, że teatr musi od czasu do czasu zwalaczać na okres letni, wczasowy, pitrasić lepsze dania. Pitrasi, owszem, lecz czyni to zwykle z przymrużeniem oka, bez dęcia w trąby i bez sugerowania jakichś tam niby aktualnych podtekstów. Nie ucieka więc przy tym w dumne regiony nowych odkryć repertuarowych, ale wybiera rzecz najmożliwszą z już dawniej sprawdzonych, znanych, lubianych etc.

W Gnieźnie wszystko odbyło się na opak. Tekst sztuczki wyszukano aż wśród czołowych brecht rumuńskich, i to możliwie najdawniejszego stempla. Zespół aktorski dobrano z trudem, po różnych miastach kraju. I wyszykowano spektakl, z którego tylko bardzo wyrozumiali dla teatru m. Aleksandra Fredry widzą może wyjść zadowolony.

Doprawdy nie potrafie pojąć, czemu okazuje się tyle trudu, siły i czasu dla farsideł tak mało atrakcyj-

nych i udanych? Gdyby to chociaż było lato! Czyż nie lepiej czas stracony na przygotowywanie tego rodzaju komediofars co „Topielec i marionetki” przeznaczyć na solidne przygotowanie jakiegoś jednego czy drugiego utworu komediowego polskiego autora? Powiedzmy, na przykład, Rittnera, Kisielewskiego, Perzyńskiego, czy jeszcze innego reprezentanta dwudziestolecia.

Teatr spełniłby jakiś obowiązek wobec zubożonego programu szkol-



nego wiedzy o literaturze polskiej. Spektakle takie można by zaoferować szkołom. Pamiętajmy przecież, że teatr gnieźnieński większość swego życia spędza w objęciu i w terenie takie przypominania polskiej literatury komediowej mogłyby być stokroć bardziej pożyteczne, niż ów sztuczek — z czego może nawet skądinąd — Wiktora Eftimiu.

Ale co, stało się inaczej, smutno, chociaż to niby komediofarsa i ciekawinien — według wszelkich reguł — wyjść z teatru z obolałym od śmiechu brzuchem. A z czego się tu śmiać? Z tępego handlarza win z małej prowincjonalnej miejsciny,

bliskości polskiej z licznych przekładów (szczególnie Boell i Kirst). Do ciekawszych zjawisk zalicza się także: Rudolfa Hagelstange, Ernesta Kreudera, Hansa Heinricha Nosacka, Gudrun Pausewang, Ruth Rehmann, Axela Eggebrechta, Christiana Geisslera i Guentera Grassa — autorów nie znanych naszym czytelnikom.

Z wymienionych pisarzy na szczególną uwagę zasługuje Geissler, autor „Kroniki pewnego domu

Aleksander Rogalski

Powieść w NRF

berlińskiego od r. 1930 do 1934”, wydanej w r. 1960 pod tytułem „Anfrage”.

Problematyka moralna, społeczna, cywilizacyjna mieści się także w centrum dzieł innych pisarzy. Cza sami spotyka się również satyryczne ujęcie współczesnej rzeczywistości. Na ogół jednak autorzy odzwierciedlają tę rzeczywistość w sposób mniej lub bardziej zawołowany, alegoryczny, symboliczny, przy czym wykazują wybitną skłonność do mieszania z sobą najrozmaitszych pierwiastków: utopii, burleski, realizmu, fantazji, erotyzmu, romanizmu i dydaktyzmu.

Znamienną cechą dzisiejszej literatury zachodnoniemieckiej jest jej całkowita obojętność na problematykę, jaka pasjonowała wielkich pisarzy niemieckich w dobie międzywojennej. Ani dzisiejszego pisarza zachodnoniemieckiego, ani jego czytelnika nie poruszają głębiej zagadnienia życia wewnętrznego, najsłabsze doznania estetyczne, dekadencja erotyka, ekspresjonistycz-

który marzy o zajęciu fotela burmistrza? Z jego starzejącej się córki, która gwałtem chce wyjść za mąż? Czy może z nadętego apriekarza, który zgodę na małżeństwo swojego nieciekawego synusia z ową panną kupcową uzależnia od zrzeczenia się burmistrzowskich ambicji przez jej ojca?

Bije to towarzystwo sprytem i pomysłowością przypaakowo pojawiający się w domu winiarz włóczęga-owieżyswiat, któremu obrzydło życie, a którego wyłowili z samobójczego dołu onże to kandydat na burmistrza. Tyle, że ten typ zaradności życiowej znany dobrze choćby z francuskiej literatury komediowej, w o ileż jednak lepszej artystycznej realizacji Eftimiu kopiuje te wzory, ale jakże nieudolnie!

W całej więc sztuczce jeden tylko poczytywy frant — włóczęga zdobywa sympatię widzowi — gra go Zdzisław Zachariusz — reszta postaci, chociaż w zamierzeniu autora i realizatorów miały to być postacie farsowe, wywołuje co najwyżej znudzenie, jeśli nie wręcz zniecierpliwienie.

Najbliższymi premierami teatru gnieźnieńskiego mają być: „Irkucka historia” Arbuzowa i „Kaprysy Marianny” Musseta. A więc dalszy ciąg poszukiwań zagranicznych. Teatr nosi tymczasem imię Aleksandra Fredry — więc może kiedyś i jakiś jeden i drugi polski dramaturg dostąpi zaszczytu dostania się na scenę Gniezna? Nasi nie są gorsi od obcych. A kto wie, czy nawet nie stosowniej niż oddziaływanie teatru na widza. W zdobywaniu go dla teatru.

na ekstaza, filozoficzny uniwersalizm, patos moralny. Wprawdzie przedstawiciele tego chlubnego okresu literatury niemieckiej tacy jak: Tomasz Mann, Hermann Hesse, Franz Werfel, Alfred Doeblin, Stefan Zweig, nie mówiąc już o Austriakach — Robercie Musilu i Hermanie Brochu — stanowią nadal żywą wartość w powojennych Niemczech zachodnich, ale tylko w dość wąskich kręgach akademicko-literackich, bądź też jedynie w współwyznawców pisarza jak w przypadku katolickiej autorki, Gertrudy von Le Fort. Bo jeśli nawet książki Tomasza Manna w rodzaju „Oszukaney” czy „Wspomnień hochszaplera Feliksa Krulla” spotkały się z bardzo silnym odzewem czytelnictwa, to działały w tym względy jedynie natury sensacyjnej, a nie zrozumienie głębszych wartości, tkwiących w sztuce autora.

Można zatem powiedzieć, iż współcześnie w Niemczech zachodnich istnieją dwie całkowicie odrębne literatury: najnowsza ma jakiś związek z dzisiejszym życiem, wyrasta z niego i na swój sposób wyraża je, druga zaś czerpie twórczo z całkiem odmiennych glebi i mówi o sprawach, dla których zainteresowanie obecnie wygasło. Ta co najwyżej jest przedmiotem podziwu i czi.

Zdewaluowały się: sentymentalizm, romantyzm, secesyjna ornamentacyjność. Przestali być atrakcyjni pisarze, posiadający ambicję stworzenia jakiejś nowej, syntetycznej wizji świata. Natomiast powodzeniem cieszą się pisarze, którzy z dokładnością sejsmografów rejestrują najkonkretniejsze, najuchwytniejsze fakty i zjawiska z określonego odcinka rzeczywistości jak Steinbeck, jak Wilder, jak Hemingway.

Pisarze zachodnoniemieccy liczący od lat dwudziestu pięciu do czterdziestu zarówno w wyborze tematów, w stosunku do życia, jak i w swej koncepcji pracy literackiej, wykazują wiele cech, typowych dla „mieszkańskiego sposobu bytowania. Zakreślają sobie świadomie wąski krąg zadań i poza niego nie sięgają ani trochę. Interesuje ich kupiecka solidność roboty. O zbawieniu ludzkości nie myślą (za co zresztą niekoniecznie trzeba ich ganić). Nie istnieją dla nich żadne wielkie hasła i dewizy. Czują się dobrze w czterech ścianach swego pokoju. Teskniają za stabilizacją i bezpieczeństwem, lekkiem napawia ich niepewność i widmo katastrofy. Pasjonuje ich nie zagadnienie: „W jaki sposób da się świat naprawić?”, lecz kwestia: „Jak napisać dobre zdanie?”.

Odnosi się to nawet do tych pisarzy zachodnoniemieckich, którzy w swej twórczości dali wyraz silnemu fermentowi moralnemu, krytycznej postawie wobec rzeczywistości społecznej swego kraju.

Młodych pisarzy liczy się w Niemczech zachodnich na setki. Ale tylko mało ich garstka zdobywa się na powiedzenie energicznego „nie”. Na równie mocne „tak” już ich nie stać. Wygląda na to, jakby w tym kraju wypalił się do cna żar rewolucyjny, który czynnikiem z literatury niemieckiej po pierwszemu wojnie światowej zjawisko niezwykle dynamiczne i wielokształtne.

J. B.

HENRYK

Ciąg dalszy ze str. 2

uwzniosło, ale nie było po temu okazji.

Aż wreszcie nadszedł oczekiwany dzień, na krancach miasteczka wybuchł groźny pożar, bił dzwon na irwogę, wyla syrena, piękna tuna rozlała się na niebie, dym stał się nad miasteczkiem, gryził w niebieskie oczy dobrych ludzi biegnących ze wszystkich stron, podawano sobie z żylastej ręki do żylastej ręki wiadra z wodą a M. pędząc do pożaru w czerwonym samochodzie strażackim był podobny do posagu greckiego bohatera, broniącego Troi wydawał się Polakiem broniącym Warszawy, albo Anglikiem broniącym Londynu albo Szwedem broniącym Sztokholmu albo Islandczykiem broniącym swych gejzerów i wulkanów.

Pałił się dom mieszkalny, dwupiętrowy drewniany dom, ogień zalał z uciechy, wyschnięte drzewo poddawało się z lubością jego niszczącemu działaniu, na strychu poniewierali się łatwopalne materiały jak słoma, celulozoid, papier, ogień pożerał je w mgnieniu oka i jeszcze mu było mało a M. w swoim kombinezonie wyolbrzymiał, stał się tytanem obrony przeciwpożarowej, w jego hełmie odbijały się pomarańczowe błyski, pod domem ludzie plakali a on się cieszył i żeby pokazywał w uśmiechu, zadowolony, że się może przydać małomiasteczkowej społeczności, której był częścią, pyłkiem tej społeczności, był pożytecznym pyłkiem, wraz z towarzyszami obsikiwał ten dom wodą i wszystko szło jak trzeba, to znaczy ogień z wodą tworzyły parę, kłęby pary, chmury. Nagle rozległ się czyjś rozpaczliwy głos:

— Rany boskie, Henryk, gdzie jest Henryk?

To był głos kobiety, która stała w tłumie i płakała, treść tych słów nie podlegała wątpliwości, komuś groziło niebezpieczeństwo, komuś to znaczy człowiekowi, życie ludzkie tak cenne, cenniejsze od życia kota, psa czy nawet precudnego motyla było w niebezpieczeństwie, mniejsza o to, kim był ten człowiek w ogniu, mógł być zbrodniarzem, który zabił piętnastoro małych dzieci, miejscowym Casanovą a jednak w ostatecznym rozrachunku był człowiekiem a w tym mieście żyli ludzie dobrzy, piękni i uczciwi, ludzie wspaniali, więc twarz M. który obsikiwał wesoly ogień, drgnęła, wystąpił z szeregu, wszystkie niebieskie oczy zwróciły się w jego stronę: przemówił.

— Co za Henryk? — rzucił w stronę kobiety i ona miała błękitne oczy, jasne włosy i silne ręce kobiety pracującej, nie żyjącej z pracy innych.

— On tam jest, Henryk. On tam musi być, na piętrze w sypialni... — krzyczała.

Tymczasem dom płonął wesolotką, trzeszczały więzania dachu, rozchodził się zapach podobny do tego, jaki wydają smolne szczapy palące się w kominku w chłodny, listopadowy wieczór a my wpatrznieli w ogień wspomniany słoneczny, ciepły lato.

— Rany boskie, Henryk! — krzyczała kobieta.

M. poprawił pas, ścisnął toporek, nałożył maskę, dopiął pod szyję kombinezon. Wybiła ta godzina.

— Idę — zameldował komendantowi — człowiek w ogniu!

— Idź — rzekł major, czyniąc przyzwyczajony gest dłonią. M. odsalutował i poszedł w wesoly ogień i dym.

— Bohater — szeptał tłum niebieskookich ludzi, ich włosy poczerwieniały, tak je ten ogień ubarwił, stali i patrzyli ze zgrozą jak M. oddalał się, nikt nie w piekielnej kurzwie. Modlili się, żeby wrócił szczęśliwie, odniósł zwycięstwo i uratował niebieskookiego Henryka, jednego z 7543 mężczyzn w tym miasteczku.

A M. obrósł już w puch i pierze dymu, który czerniał i gęstniał, już wstąpił ogień muskający kombinezon, jak języki ciał, gdy wejdzimy do obory, oblizują nam dłoń a bydlątka wyciągają łby, rycząc przyjaźnie, już siedzi w sam środek ognia świadomy celu swego działania, miał ocalić życie istoty żywej, obdarzonej rozumem, siedzi w sam środek i oto nagle ukazał się w jednym z okien, wytknął głowę, potem tułów, wymachiwał bezradnie rękami, co oznaczało prawdopodobnie: „nie ma go, nie mogę go znaleźć”. Zdjął na chwilę maskę, wyjrzała twarz sina, spocona, łapał ustami powietrze. Cierpiał fizycznie, bardzo cierpiał.

— On tam musi być! — krzyczała kobieta — niech pan woła: „Henryku” albo jak pan woli: „Henryku”, on panu odpowie...

— Nie ma, nie mogę go znaleźć, podłoga się już pali i drzwi się palą, wszystko się pali...

— Niech pan woła: „Henryku, Henryku” — powtórzyła kobieta, a on za-

Dokończenie na str. 4

Przeżyłem swoją śmierć

Nowym nawrotem do „czasów pogardy” jest film czechosłowacki pt. „Przeżyłem swoją śmierć”, jeszcze jedna relacja z hitlerowskiego obozu zagłady.

Najlepszą warstwą tego filmu są znakomicie uchwycone, pełne autentyzmu realia obozowego życia (autor scenariusza M. Jaris sam był więźniem w Mautausen). Autentyzm ten widać również w rozegranii poszczególnych sytuacji; niejednokrotnie wręcz paradoksalnych, jak np. przyjaźń kapo wobec boksera, historia zresztą znakomita aktorsko. I je żeli reżyser filmu V. Jasný mówi: „chciałem wiernie pokazać życie w obozie, ale nie chciałem tego życia schematyzować”

— to trzeba przyznać, że pod tym względem odniósł duży sukces.

Mimo to wychodzimy z kina z uczuciem niedosytu. Od tamtych czasów minęło już 17 lat i dlatego nie wystarczy dziś jak najbardziej nawet prawdziwa relacja. Przewijają się zaś motywy międzynarodowej solidarności antyfaszystów — nie należy do najsilniejszych stron filmu. Motyw ten bowiem nie wpływa gładko z wątku fabularnego i został dość

FILM

szlucnie ożeniony z rodzajem samej anegdoty.

W roli głównej widzimy boksera, więźnia raczej przypadkowego, oglądamy walkę na obozowym ringu, która jest jednocześnie walką o jego życie. Pomysł ten i jego pełne rozwinięcie dążyły szereg interesujących możliwości. Niestety — twórcy filmu wybrali rozwiązanie połowicze i z możliwości tych zrezygnowali, zbójując powiązać je z problematyką zbyt szeroką, by mogła się w nich pomieścić. A decyzje połowiczne i brak konsekwencji nie prowadzą, jak wiadomo, do najlepszych rezultatów.

Film ma ciekawe zarysowane postacie, dobrą obsadę aktorską (m. in. w epizodycznej roli występuje W. Siemion) oraz interesujące zdjęcia.

J. B.

HENRYK

Dokończenie ze str. 3

część wołać: „Henryku, Henryku” i tłum niebieskookich ludzi wołać już: „Henryku, Henryku”. M. walcząc z ogniem prul przed siebie wołając ciągle: „Henryku, Henryku” i potem usłyszał czyjś głos: „Krystyno, Krystyno”, wydobywał się z gardła człowieka, któremu trzeba podać rękę, i przeprowadzić przez kładkę na ten brzeg. Alekowany przez wysoką temperaturę i gazy szedł M. ciągle naprzód, wołając: „Henryku, Henryku” i tamci mu odpowiadali: „Henryku, Henryku” a ten drugi głos coraz bliższy i skrzekliwy odpowiadał: „Krystyno, Krystyno”. Zbliżał się koniec dramatu.

— Jest, idzie! — rozległ się krzyk tłum.

— Jest, idzie — złożono raport jasnowłosemu komendantowi straży pożarnej.

M. schodził po drabinie, jeszcze cierpiał fizycznie, ale twarz miał opromienioną uśmiechem, witał tłum podniesioną ręką, jak mąż stanu, który na lotnisku pozdrawia wiwatujących na jego cześć ludzi, kobiety, mężczyzn i dzieci.

— On jest sam — powiedziano.

— Nie ma Henryka.

— Jest, o mój Boże — krzyknęła radośnie kobieta.

— Henryk spalił się...

— Heniek! — podbiegła do M., który wręczył jej jakiś przedmiot, co to było, niewiadomo, gdyż zaraz odczyli ich sanitariusze z noszami.

— Co to jest? — zawołano.

— Klauka.

— Dobrze sobie, pusta klauka...

— Ależ nie, klauka z papugą, klauka z papugą...

— Tylko papuga.

— Arara — złożono raport — M. uratował arare...

— Gratuluję — powiedział do niego komendant, a temu M. lat się pot z czoła, cierpiał fizycznie. Komendant zagryzł wargi do krwi i on cierpiał fizycznie. Odrzucił się i wydając syk tłumionego śmiechu, przedkładał się z tego miejsca. Było już po wszystkim, pożar ugaszono. Podkomendni też oddalili się, tłumiąc śmiech i inni świadkowie zająć tłumiąc nadmierną wesołość opuścili teren niedawnej walki z ogniem, który uległ woli i sile człowieka.

— Krystyno! — wrzasnął Henryk, a ona tuliła go do siebie, całowała w dziobek i skrzydełka.

Więc i ten M. jeszcze trochę cierpiał fizycznie, oddalił się, wrócił do maszyny, igieł i włosianki i od tego dnia, gdy się tylko pojawił na ulicy, na jego widok tłumiono śmiech, to znaczy odwracano głowę i wydawano syk, gdyż powieź, które chciało opuścić jamę ustną nie mogło tego zbyt łatwo dokonać a ostatecznie przeskakiwać się przez nieliczne szczeliny, było sprawą owego charakterystycznego odgłosu.

Niebieskookie dzieci, jak to dzieci, wołały za nim: „Henryku, Henryku” i strugały marchewkę, a on, żeby im zrobić przyjemność, odpowiadał: „Krystyno, Krystyno” — i wszyscy byli w porządku.

CZESŁAW MICHNIAK

Wydana ostatnio nakładem IZ w Poznaniu praca doc. dr. Bolesława Wiewióry jest monografią poświęconą trudnej i ważnej problematyce prawnomiedzynarodowej. Istota i skutki prawne uznania czy to nowych państw, nowych rządów i innych organizmów politycznych (strona wojująca, powstańcy) czy też zmian, jakie nastąpiły w podstawach terytorialnych lub w położeniu prawnym innych państw — należą do najbardziej spornych zagadnień dyskutowanych w nauce prawa międzynarodowego.

Ogólnie biorąc, występują w tej dziedzinie dwie grupy poglądów. Zwolennicy zasady legitymizmu skłonni są uważać że zasadnicze zmiany w życiu państw wywołują skutki prawne w stosunkach międzynarodowych dopiero z chwilą ich uznania przez inne państwa, a zatem przypisują aktowi uznania znaczenie prawotwórcze. Przeciwnie, zwolennicy zasady skuteczności (efektywności) są zdania, że zmiany tego rodzaju pociągają za sobą skutki międzynarodowe — prawne od razu i że uznanie tych zmian posiada — z punktu widzenia prawa międzynarodowego — jedynie charakter stwierdzający.

Praca Bolesława Wiewióry obejmuje tylko część powyższej tematyki, mianowicie kwestie związane z uznaniem nabytków terytorialnych. Po ocenie krytycznej podstaw teoretycznych, na których opiera się zasada nieuznawania, a także omówieniu roli politycznej tej zasady, autor kolejno przedstawił poszczególne sposoby nabycia terytorium i charakter prawny uznania nabytków terytorialnych. W ostatnim rozdziale wnioski teoretyczne, do jakich w wyniku swych rozważań doszedł autor, zostały zastosowane w odniesieniu do nabytków terytorialnych Polski i Czechosłowacji po drugiej wojnie światowej oraz do granicy pomiędzy NRD i NRF.

W rozważaniach swych mających za przedmiot sposób nabycia przez Polskę ziem na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej autor trafnie zwrócił uwagę na okoliczność, że fakt sprawowania przez Polskę administracji (w rozumieniu prawa międzynarodowego) nabytych przez Polskę bez jakiegokolwiek uchybienia przeciwko prawu międzynarodowemu — staje się na skutek dłuższego trwania tego stanu rzeczy tytułem prawnym, którego nie mają prawa kwestionować inne państwa. Na tej podstawie rozwinął autor swą oryginalną koncepcję dotyczącą uznania nabytków terytorialnych wzbogacając naszą argumentację na rzecz przynależności ziem zachodnich i północnych do Polski o jeszcze jeden argument międzynarodowo-prawny. Dotyczy to w szczególności zastosowania zasady prawnej tzw. estoppel — wywodzącej się z prawa anglosaskiego a uznawanej także przez naukę i praktykę prawa międzynarodowego — do stanowiska mocarstw zachodnich w odniesieniu do granicy ustalonej w Układzie Poczdamskim i do oceny prawnej zmiany tego stanowiska.

Nabytki terytorialne Polski i Czechosłowacji — jak stwierdza doc. dr. Wiewióra

*) Bolesław Wiewióra „Uznanie nabytków terytorialnych w prawie międzynarodowym”, Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1961.

wióra — były formułowane przez zwycięską koalicję. Nie zostały one dotychczas zatwierdzone w traktacie pokoju. W odniesieniu do granicy czechosłowacko-niemieckiej pojawiają się w Niemczech Zachodnich głosy, że w oparciu o Układ Monachijski z 1938 r., uważany za nadal obowiązujący — Czechosłowacja cedowała kraj sudecki na rzecz Niemiec. Autor wykazuje, że Układ Monachijski był w czasie wojny anulowany przez wszystkie państwa, które go podpisały, z wyjątkiem Niemiec. W konsekwencji zaś stwierdza, że podstawy prawne granicy czechosłowacko-niemieckiej „opierają się na niepodważanym przez żadne państwo tytule prawnym” i że można tu zastosować „zarówno konstrukcję przyzwolenia jak i zasiedzenia”. Radziecki projekt traktatu pokoju z Niemcami zmierza w art. 10 do „nowacji tego tytułu w nowy tytuł umowny, usuwający wszelkie możliwe niejasności”.

Jeśli chodzi o granicę polsko-niemiecką — autor stwierdza, że decyzje terytorialne zawarte w Układzie Poczdamskim „są dla obu państw niemieckich wiążące, ponieważ zostały wykonane przed powstaniem tych państw i w ramach uprawnień mocarstw sojuszników sprawujących władzę najwyższą nad Niemcami”. Układ ten nie przewidywał zatwierdzenia decyzji mocarstw przez Niemcy. Analizując stanowisko mocarstw zachodnich w sprawie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, doc. dr. Wiewióra podkreśla, że mocarstwa te kwestionują jedynie ostateczność uregulowania sprawy granicy polsko-niemieckiej, a nie kwestionują jej merytorycznej. W oczach mocarstw zachodnich Polska posiada tzw. tytuł początkowy, który wymaga umocnienia. Dlatego też granica na Odrze i Nysie Łużyckiej traktowana jest przez mocarstwa zachodnie jako granica państwowa. Radziecki projekt traktatu pokoju z Niemcami w art. 9 zmierza, podobnie jak w zakresie granicy czechosłowacko-niemieckiej, do nowacji dotychczasowego tytułu prawnego Polski do ziem zachodnich.

Jeżeli chodzi o granicę pomiędzy NRD i NRF — zagadnienie ma charakter odcinający. Dawna linia demarkacyjna w następstwie powstania dwóch państw niemieckich przekształciła się w granicę państwową. Problem polega tutaj nie na uznaniu takiej lub innej linii granicznej, ale na uznaniu charakteru prawnego danej granicy. Radziecki projekt traktatu pokoju z Niemcami przewiduje, że stosunki pomiędzy obu państwami niemieckimi, aż do czasu zjednoczenia, będą kształtowały się w płaszczyźnie między państwowej, dlatego też granica między NRD i NRF posiadałaby charakter granicy państwowej.

Za cenne pod względem naukowym uważać należy rozważania zawarte w pracy dotyczące obowiązków, jakie ciążyą na państwach — członkach ONZ w dziedzinie ustosunkowania się do nabytków terytorialnych. Autor w wyniku swych dociekań w zakresie interpretacji Karty Narodów Zjednoczonych stwierdza, że Karta nakłada na państwa obowiązek nieuznawania nabytków terytorialnych, będących rezultatem naruszenia w drodze użycia siły stanu posiadania terytorialnego, jaki został ukształtowany w wyniku drugiej wojny światowej.

W sumie stwierdzić należy, że praca doc. dr. Wiewióry stanowi wartościową monografię z zakresu prawa międzynarodowego a jednocześnie cenny przyczynek w zakresie uzasadnienia naszych praw do ziem zachodnich i północnych.

Eugeniusz Pauksza

Witryna „Czytelnika”

W przeglądzie nowości „Czytelnika” na plan pierwszy należy niewątpliwie wysunąć trylogię powieściową Flory Bieńkowskiej „DALEKIE DROGI”, której tom pierwszy „Czyścić” ukazał się jeszcze w 1949 roku, dalsze długo musiały czekać na druk. „Dalekie drogi”, to panoramyczna opowieść o losach pewnych grup postępowej inteligencji, rzucona na bardzo szerokie tło polityczne, społeczne, obyczajowe okresu krótko poprzedzającego wojnę oraz okupację. Książka posiada nawet pewne „kluczyki”, to i owo dałoby się w niej odcyfrować w odniesieniu do pewnych postaci czy sytuacji, w ogóle jakiś, oczywiście przetransponowana pisarsko wierność obserwacji i obiektywność oceny dodają utworowi Bieńkowskiej walorów swoistego autentyczności, momentami prawie że pamiętnikarskiej relacji. Wyeksponowane na pierwszy plan losy Anny ujmują intensywnością przeżycia, przybliżając poprzez zainteresowanie dziejami bohaterki także i obraz ogólny okresu wielkiej próby, jakim dla środowisk postępowych były lata tak wojenne

go, pejzaż bretoński, głębokie rozumienie człowieka i jego spraw, nawet tych najmniejszych i najbardziej osobliwych dla innych, przy świetnej konstrukcji i fascynującej swobodzie stylu — sprawiają, że do książki tej długo powraca się myślą, poddaje jej urokowi, sprawy jej pociągają i niepokoją.

Do spraw pierwszej wojny, ale w inny zupełnie, niejako „remarque'owski” sposób, nawraca też dopiero obecnie wydana u nas powieść znanego pisarza czeskiego Wacława Rzeżacza „POSIEW WICHRU”, jeden z jego pierwszych utworów. Młode, najmłodsze pokolenie w obliczu wojny i związane z nią moralnego rozkładu. Miłość prawdziwa jako szansa ocalenia od cynizmu, od zagubienia się w okrucieństwie świata wojny i frontowego zaplecza. Rozmaicie rozwikłuje się zetknięcie młodych chłopców z życiem, odchodzą z własnego wyboru jak Ottoni, wywołują się jak Bertik, cynicznie jak Wit, ratują się jak Piotr poprzez prawdziwą miłość, której wartość lepiej może poznać przez to, że znali już miłości nieprawdziwe.

Budzi ta powieść sporo refleksji, każe porównywać skalę doświadczeń młodych pokoleń w tamtej i tej wojnie, podobną, a także zarazem odmienną. Myślę przy tym, że w doświadczeniach tej wojny oczyszczenie było łatwiejsze, choć okupione znacznie większą i bardziej przerażającą skalą doświadczeń.

A teraz inny, odmienny zupełnie klimat. „KLAMKA” Martina A. Hansena, Duńczyka, jak wszyscy Skandynawowie, całą swą twórczością związanego z własną ojczyzną, z surowością jej życia, z odwiecznymi, twardymi prawami moralnymi, to książka o szczególnym uroku, bardzo prawdziwa w studium psychologicznym, bardzo szczera i wierna pisarskiej koncepcji. Podobno w powieści tej nie ma jest z autobiografii Hansena, urodzonego wśród opisywanych z ukochaniem fiordów, wśród prostych ludzi, z uporem i przywiązaniem kulturowych wierzeń, pośród tych, którzy wysoko stawiają miłość i w nią wierzą, tak jak wierzą w niepowtarzalny urok surowej przyrody własnej ojczyzny, której urodzić nic nie dorówna.

Sporo pisałem ostatnio o nowych przekładach skandynawskich, cenę bardzo te książki. I za stanowiąc mi nie zawsze jedno, jak nieustannym nurtem przewija się tam ukochanie przyrody, integralne powiązanie z nią losów człowieka. Zarazem myślę, czy dobrze to, że nasza literatura zrobiła się tak wyłączone miejską, uciekała od natury? Czy powrót do niej nie wnosiłby i w niejedną książkę nowe, nieraz zupełnie niespodziewane wartości?

Równocześnie w terenie (mnożnik 7) audytorium XI Muzy — czego nie przeczuwa nawet oficjalna statystyka — wyraża się liczbą tej samej jeśli nie większej klasy!

I dalej autor pisze:

„Jakkolwiek nieotybyły się sprawy, pewne jest, że do telewizyjnej rodziny przybędzie w najbliższych miesiącach prawie 300 tys. abonentów. Stądnowi to co najmniej 1,5 mln nowych widzów. Spodziewać się należy, że przeszło połowa tego grona reprezentować będzie teren”.

O krytyce — krytycznie

Takim tytułem opatrzył Ludwik Krasucki artykuł opublikowany w Tygodniku Demokratycznym. Autor pisze nie tylko o potrzebie krytyki i o jej twórczej roli, ale również o pewnych przemianach, które u nas stały się zjawiskiem nieodwracalnym i które stworzyły nowe warunki dla krytyki:

„W chwili obecnej, a tym bardziej jutro i później, w krytyce rozlegającej się w naszym społeczeństwie, coraz mniejszą rolę odgrywać będzie reakcyjne, antysocjalistyczne nastawienie społeczne, coraz większą rolę — twórczą, choćby nie w pełni sprzecywaną niepokój ludzi, czujących się współgospodarzami kraju stojących na gruncie socjalizmu... Krytyka z natury rzeczy personifikuje zjawiska. Mówi się: „dyrektor nie zapewnił surowca”, choć dyrektor osiadał w walce z niesfornymi kooperantami... Często spotykamy odwruchem staje się w takich wypadkach obrona przed krytyką, gdy o wiele bardziej pożyteczne byłoby odpersonifikowanie krytyki i wydobycie z niej problemowego jądra, dotyczącego czasem kwestii ogólnokrajowych czy mechanizmów o działaniu ogólnospołecznym”.

Autor pisze też o tendencji odwrotnej, o uchyłaniu się od krytyki personalnej, co jest również — jeżeli prowadzi do nic nie mówiących ogólników — zjawiskiem niepożądanym.

LEKTOR



Literatura dla szkoły

W Życiu Literackim znajdujemy interesujące redagowane i chyba potrzebne cykl Literatury dla szkoły. Przed dwoma tygodniami w rubryce tej omawiano „Wrzesień” Jerzego Pułmanta, a w ostatnim wydaniu „Życia” Janusza Goślińskiego o książce Jana Parandowskiego pt. „Niebo w płomieniach”. Cykl ten polecamy zarówno nauczycielom języka polskiego w szkołach średnich jak i uczniom tych szkół.

Czy mówimy jedną polszczyzną?

Wybitny znawca współczesnej polszczyzny, autor wielu podręczników gramatyki języka polskiego — Zenon Klemensiewicz publikuje w tym samym numerze Życia Literackiego artykuł pod znamienym tytułem Czy dzisiaj posługujemy się jednym językiem polskim? Po interesujących wywodach o gwarach różnych regionów, o wpływie rodziny, środowiska i szkoły na poznanie języka o różnicach między językiem mówionym a pisanym, autor odpowiada na pytanie postawione w tytule:

„I tak, i nie. Wszyscy Polacy używamy jednego narodowego języka polskiego. Wielu Polaków mówi gwarowymi odmianami języka regionalnego; wielu Polaków mówi językiem ogólnym, który wszystkie dzieci polskie poznają w szkole. W jednych okolicznościach posługujemy się mową; w innych językiem literackim, a zwłaszcza jego bierne użycie jest po likwidacji analfabetyzmu wszyst-

kim Polakom od początku wieku szkolnego w różnym stopniu właściwe”.

Czy chory musi się poddać operacji?

Ten stale jeszcze do końca nie rozstrzygnięty i dyskutowany problem jest na łamach Służby Zdrowia tematem wypowiedzi znakomitego prawnika i popularyzatora wiedzy prawniczej, znanego telewizorom („Paragraf z fajką”) prof. dr. Jerzego Sawickiego. Profesor Sawicki reprezentuje stanowisko prawnika wobec poprzednio opublikowanych przez Służbę Zdrowia poglądów lekarza, który wysunął sugestię wprowadzenia ustawowego przymusu poddania się zabiegowi operacyjnemu. Sawicki pisze:

„Brama raz rozwarła dla naruszenia integralności cielesnej przez zabieg może wbrew najlepszym intencjom rzeźników zaprowadzić nas w niebezpieczny zaułek. W imię interesów sądowych i śledczych można będzie zażądać poddania się zabiegowi chirurgicznemu (narkoanaliza) w celu uzyskania zeznań. Brama do zabiegu pod przymusem może być otwarta tylko wąską szczeliną. Każde szersze jej rozwarcie jest groźne. Na zakończenie tych kilku uwag chcę jeszcze dodać, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem przymusu bezpośredniego nawet w tych wypadkach, gdy obowiązek poddania się leczeniu jest koniecznością społeczną (choroby weneryczne), która musi się tolerować, nawet wbrew woli pacjenta”.

Ciekawe, jak na tę sprawę zapafrują się inni lekarze i prawnicy?

Jakie liceum jest potrzebne?

Oto tytuł artykułu Bogdana Suchodolskiego i Zofii Krzysztofskiej opublikowanego w Nowej Kulturze. Autorzy piszą:

„Sądzimy np., iż jest sprawą zupełnie dojrzałą zorganizowanie:

- 1) liceum przysposabiającego młodzież do pracy w dziedzinie zawodów techniczno-produkcyjnych;
- 2) liceum przysposabiającego młodzież do pracy w dziedzinie zawodów oświatowo-kulturalnych;
- 3) liceum przysposabiającego młodzież do pracy w dziedzinie zawodów biologiczno-rolniczych;

4) liceum przysposabiającego młodzież do pracy w dziedzinie zawodów ekonomicznych i społeczno-administracyjnych...

I tak w typie 1 — obok trzonu programowego wystąpią dwa przedmioty kierunkowe: technika i ekonomia...

W typie 2 — obok trzonu programowego wprowadzi się pedagogikę oraz wiadomości o sztuce...

W typie 3 — jako przedmioty kierunkowe wystąpią: agrobiologia i zootechnika...

W typie 4 — kierunkowymi przedmiotami będą: ekonomia oraz socjologia wraz ze statystyką z elementami demografii”.

W zakończeniu artykułu czytamy:

„Ale przede wszystkim liceum takie nie będzie oderwaną od życia elitarystyczną szkołą rekrutującą uczniów wedle zasad społecznej selekcji i produkującą z połowy swych absolwentów (którzy nie będą studiować dalej) kandydatów do życiowej katastrofy”.

TV — klęska prowincji

Polityka rozpoczęła cykl artykułów (TV w terenie) Tadeusza Kurka. Zanim jednak w kilku słowach omówimy pierwszy z nich, warto kilka słów poświęcić dołączonej do artykułu mapce, ilustrującej zasięg obecnie działających w Polsce nadajników telewizyjnych. Porównanie Poznania z innymi ośrodkami jest dla nas nokaufujące, zasięg poznańskiego nadajnika jest najmniejszy! Nawet olsztyński ma większy zasięg. Pod koniec 1962 roku zasięg tego ostatniego będzie kilkakrotnie większy od poznańskiego. Po tym niewolnym „obejrzeniu” mapki przejdźmy do artykułu. Czytamy w nim:

„Weszliśmy w rok 1962 z 61413 telewizorami na narodowym koncie. Prowizoryczne rozbieżności statystyczne tej liczby na „miasto” (530.747) i „wieś” (83.366), dokonywane tradycyjnie w zestawieniach Ministerstwa Łączności nie dają jednak należytego pojęcia o geografii odbioru... Bez obawy popełnienia błędu możemy przyjąć, że widownia telewizyjna w mieście (mnożnik 5) bliska jest 2 mln.